

Dr. A. WYLM.

KORALOWY RÓZANIEC

2

Romans psychiczny.

Ciąg dalszy.

— Jaki?

— Nie mogę go jeszcze określić. Trzeba zacząć na dalszy bieg wydarzeń sennych. Lecz to jeszcze nie wszystko. Dlaczego nie może pan przekroczyć granic terasy? Dlaczego nie mógł pan z początku odwrócić oczu od prawego okna? Czy istnieje jakaś łączność między tymi dwoma faktami?

— Nie widzę żadnej.

— Zastanówmy się. Dwa fakty mamy stwierdzone: 1) nie może pan odwrócić oczu od okna, 2) jest pan w stanie chodzić po terasie, ale tylko między drzwiami, a tem oknem. Co z tego można wywnioskować?

— Że mogę dokonywać czynów, które mnie zbliżają do okna lub drzwi.

— Czy nie więcej?

— Nie.

— Powróćmy znowu do faktów. Co pana przyciąga, okno czy drzwi?

— Ani jedno, ani drugie, ponieważ mogę chodzić od okna do drzwi.

— A więc?

— Niczego więcej nie domyślam się.

— Jeżeli nie działają na pana same przez się, ani drzwi, ani okno, w takim razie dokonywa tego co innego; coś, co jest w związku z drzwiami i oknem.

— Tak, to prawda!

— Cóż więc to jest?

— Jakiś pokój bez wątpienia. Wskazuje go okno, a drzwi są zwykłym środkiem dostania się do wnętrza domu. Jest to zupełnie naturalne! Nigdy nie wpadłbym na to bez pana. Do czego jednak to nas doprowadzi?

— Zaraz pan zobaczy. Istnieje jakaś siła obca w panu, która zbliża pana we śnie do tego, co my uważamy za jakiś pokój. Trzeba zaspokoić tę siłę, kierującą pańskimi krokami, lecz która zarazem nie pozwala panu oddalić się od celu, jaki sama wskazuje. Należy wejść do tego pokoju.

— Zastosuję się do rady doktora, chciałbym jednak poznać pańskie zdanie o tem wszystkim. Rozumiem teraz, dlaczego profesor Durieux przysłał mnie do pana. Zdaje mi się, że pan daleko więcej wie o moim wypadku, niż pan to okazuje, a bardzo pragnę wiedzieć, co pan myśli.

— Nic nie mogę powiedzieć, bo tyle wiem, co i pan. Mogę wprawdzie stawiać hipotezy, lecz do niczego one nas nie doprowadzą. Niech pan sam się obserwuje i dojdzie do jakich pozytywnych wyników.

Przy tych słowach rozstaliśmy się, przedtem jednak poprosiłem go, by notował szczegółowo każdy sen.

Kilka dni przeszło, a mój pacjent nie dawał żadnego znaku życia. Zacząłem już się dziwić, dlaczego nie przychodzi, gdy otrzymałem jego wizytę. Zauważyłem w nim zmianę, miał weselszą i spokojniejszą minę.

— Sen mój — rzekł mi — przybrał formy romantyczne i sprawia mi teraz wielką radość. Bardzo jestem panu wdzięczny, że nie polecił mi pan żadnego środka do jego zniweczenia, byłbym bowiem teraz zupełnie zmartwiony. Dziękuję, że pokierował mnie pan swemi radami i dał mi przez to wielką przyjemność. Wiem, że jest ona złudną i że stwarza ją moja własna wyobraźnia, widzenie to jednak ma dla mnie pozory rzeczywistości; chciałbym, by ono wiecznie trwało.

— Och! Mój młody przyjacielu — odpowiedziałem mu z uśmiechem — coż wywołało taką przyjemną zmianę w pańskich snach?

— Stało się to w najprostszy sposób na świecie. Uczyniłem to, co pan mi wskazał: wszedłem do domu, do pokoju oświetlonego, przez to okno.

— Niech mi pan to opowie.

— Po wyjściu od pana długo zastanawiałem się nad radami, jakie mi pan dał. Oczekiwałem nocy z pewną niecierpliwością, lecz umysł mój tak był pobudzony, iż dopiero dość późno zdołałem usnąć. Wreszcie ogarnął mnie sen i przyniósł zwykłe swe zjawisko. Zachowałem we śnie jasną świadomość siebie i pamięć o naszej rozmowie. Szedłem bardzo szybko, przebyłem ogrodzenie, minąłem aleje parku, wstąpiłem na schody i bez najmniejszego wahania wszedłem do środka domu. Drzwi nie przedstawiły mi żadnego oporu; znalazłem w nich dość obszernej hali z wysokim, rzeźbionym kamiennym kominkiem w głębi, na prawo drewniane schody prowadziły na pierwsze piętro. Na wysokości tego piętra dokoła

hali znajdowała się galerya. Śmiało wszedłem po schodach i dostałem się na korytarz z drzwiami po obu stronach; wybrałem sobie ostatnie po prawej stronie i minąłem je, nie spostrzegając nawet tego. Ujrzałem się w panińskim buduarze. obitym niebieską materią; stały w nim krzesła, fotele i małe stoliki z różnymi drobiazgami. Koło łóżka leżało w nieładzie ubranie. Na kominku palił się jeszcze ogień. Chociaż było ciemno, widziałem jednak każdy przedmiot. Najładniejszym było łóżko w stylu Ludwika XV ze złoczonego drzewa, znajdowało się ono po prawej stronie drzwi. Spała w nim na prawym boku z twarzą, zwróconą do mnie, młoda panienka. Nie widziałem jeszcze nigdy nic tak uroczego. Proszę wyobrazić sobie świeżą twarzyczkę o delikatnych rysach, różowej cerze, długich czarnych rzęsach, purpurowych, lekko zarysowanych, na poły otwartych ustach, które ukazywały śnieżno-białe zęby. Fala ciemnych włosów, związanych niebieską wstążką, zdobiła tę piękną postać. Z największą rozkoszą przypatrywałem się jej i od chwili, gdy dowiedziałem się, jak dostać się do tego pokoju, spędzam w nim na marzeniu wszystkie swe noce. Siadam koło łóżka, patrzę na tę młodą postać i doznaję przy niej jakiejś rozkosznej błogości. Przeglądałem się jej bez znużenia. Każdej nocy odnajduję ją w swym śnie; wszystkie przeszkody, które mnie dawniej zatrzymywały, znikły bez śladu i jawię się wprost w jej pokoju. Znam jego położenie, pamiętam wszystkie meble, drobiazgi, książki, najjaśniej jednak trwa w mej myśli ta uroczą postać uspijoną koło mnie, zawsze piękna, zawsze nadobna. Pozostaje przy niej bez ruchu, śledzę jej oddech, który unosi z lekka okrywającą ją kołdrę; uważam na jej ruchy, obawiam się, by się nie odkryła i nie czuła zimna; czuwam nad nią z czułością i chciałbym, by sen mój nigdy się nie skończył.

— A czy tylko — rzekłem z pewnem wahaniem — pan się jej przypatrywał... bez dotykania?

— Ani na myśl mi nawet to nie przyszło — odrzekł Leyre z naiwną szczerością.

Uśmiechnąłem się, on zaś zaczerwienił się, jak młoda panna. Ten młody, piękny mężczyzna zachował całą swą świeżość; chemia mniej miała dla niego tajemnic, niż miłość i uczucia jego nie znały zapewne jeszcze sposobu zrealizowania się.

— Nie pomyślał więc pan nawet — rzekłem z uśmiechem — by pocałować to piękne stworzenie?

— Zupełnie nie.

— Podziwiam pana, mój młody Scypionie.

Zamysliłem się przez chwilę. Czy zachęcić Leyre'a do posunięcia naprzód jego przygód? Nie! Pozostawić lepiej rzeczy ich biegowi, natura sama się odezwie w odpowiedniej chwili; zresztą jeżeli nieznany wpływ wywołuje w młodym chemiku podobne sny, prawdopodobnie działanie jego nie zatrzyma się na tem. Da się odczuć i wyrzuci swą wolę. Spodziewałem się, że w tych snach zjawi się jakaś osoba. Jeżeli moje hipotezy metapsychiczne były słuszne, to ta młoda panna, która się śni Leyre'owi musi być właścicielką różańca koralowego. Mogłem bez popełnienia żadnej niewłaściwości sprawdzić dokładność mego przypuszczenia. Milczenie moje musiało trwać pewną chwilę, podnosząc bowiem oczy, spotkałem się z pytającym wzrokiem Leyre'a.

— Pańskie opowiadanie — rzekłem — staje się z każdym dniem coraz bardziej interesującym. Mówi pan, że doznajesz błogości przy tej śpiącej pannie. Czy nigdy jeszcze nie doświadczył pan podobnego uczucia?

— Nie przypominam sobie.

— Dobrze! Na razie nie mogę dać panu żadnej rady; niech pan w dalszym ciągu prowadzi swe spostrzeżenia i powiadamia mnie o nich. Co pan uczynił z różańcem?

— Mam go u siebie w szufladzie biurka.

— Niech go pan weźmie wieczorem na siebie i zawiesi na piersi przed udaniem się na spoczynek.

— Dlaczego mam to zrobić, w jakim celu?

— Proszę nie żądać tłumaczenia, którego nie mogę jeszcze dać. Spełnieniem mej rady nie pan nie ryzykuje.

— Nie wątpię — odparł Leyre, śmiejąc się. — W każdym razie jest to dziwne zlecenie.

— Poczekajmy, a zobaczymy, co ono sprawi.

Pożegnałem się ze swym pacjentem, zapraszając go za tydzień na śniadanie. Będziemy mieli więcej swobodnego czasu do rozmowy.

Młody uczone przybył punktualnie w oznaczonej porze. Po zjedzeniu śniadania przeszliśmy do mego gabinetu. Kazałem przynieść tam czarną kawę z likierami, których jednak mój gość nie używał. Wkrótce po poruszeniu kilku błahych tematów, zwróciliśmy się do zajmującej nas sprawy.

— Sprawy moje komplikują się w niezwykle sposób — zaczął Leyre swe zwierzenia — przede-

wszystkiem muszę pana uprzedzić, iż zdaję sobie zupełnie sprawę, dlaczego mi pan polecił zawiesić na piersi różaniec. Wydało mi się to dziwaczne, tak jednak panu ufam, iż nie mogłem przypuścić, by pan mi radził coś nierozsądnego. I przekonałem się, że pan miał rację. Gdy się położyłem do łóżka, przyczepiłem futerał z różańcem do koszuli, poczem zagasilem lampę i czekałem na skutek tego. Muszę pana zapewnić, iż nie miałem najmniejszej myśli o tem, co się może stać. Jakież było moje zdziwienie, gdy nagle uczulem, że przenika mnie jakieś łagodne ciepło. Pochodziło ono zapewne z futerału lub też z różańca. Zwolna ciepło to, które wydało mi się — powiem zaraz rzecz nierozumną — jakby pozbawione temperatury, przejęło mnie całego. Doznawałem wielkiej błogości, zupełnie takiej samej, jak we śnie przy tej młodej pannie. Identyczność tych dwóch uczuć była tak widoczną, iż nie zważałem się uznać, że pochodzą one z jednego źródła i nabrałem przekonania, że różaniec koralowy należy do młodej panny. Wniosek ten uważałem za niemożliwy do przyjęcia, gdyż ta piękna osoba jest tylko płodem mojej wyobraźni; mimo całej nieprawdopodobności nie mogłem go jednak zlekceważyć. Buntuje się coś we mnie przeciw sądom rozumu i po raz pierwszy w życiu odczuwam w sobie walkę rozumu swego z własną imaginacją: ona podtrzymuje rzeczywistość związku różańca z młodą panną, rozum krytykuje surowo te zboczenia wyobraźni. Usnąłem dość szybko i znalazłem się odrazu w buduarze mej nieznanym. Spała ona spokojnie; ogień palący się na kominku roznosił dokoła ciepło. Osobiście nie doznawałem żadnego wrażenia, widziałem jednak, że mojej tajemniczej nieznanym jest gorąco. Sciągnęła z ramion kołdrę i poprzez pół otwartą koszulę okazała delikatną, śnieżną szyję z dwiema kropelkami potu, podobnymi do dwóch brylantów. Wyznam doktorowi, że ciężkie warunki mojej młodości nie pozwoliły mi zaznać przyjemności, jakich używali moi koledzy. Nie znałem łatwych rozkoszy i nie marzyłem nigdy o kobietach. Czuję jakąś niechęć do banalnych awanturek i żądać będę od swej przyszłej towarzyszk, nie tylko całkowitego oddania ciała, ale także duszy i umysłu. Pojmuję miłość jako zlanie się zupełnie dwóch dusz, które reprezentuje symbolicznie związek ich ciał. Zresztą z powodu śmierci mego ojca, matka pozostała bez żadnych środków i zmuszony jestem wskutek tego pracować bez wytchnienia, by zadość uczynić potrzebom jej przedwczesnej starości. Powodzenie swe zawdzięczać mogę tylko swej obowiązkowości, która mnie zniewala do bezustannej pracy. Za wiele jednak mówię o sobie, co proszę mi wybaczyć. Po raz pierwszy dopiero ujrzałem się w towarzystwie kobiety rozebranej. Lewa ręka tej młodej panny zwieszała się z łóżka. Nigdy jeszcze nie oglądałem piękniejszej, o tak białej, przezroczystej skórze. Patrzyłem na lazur żyłek, rozsnuty po całej ręce, przypatrywałem się cienkim długim palcom, o różowych lśniących paznokciach. Ręka ta pociągała mnie nieodparcie. Ukląknąłem przy łóżku i dotknąłem się końców palców mej nieznanym, lecz nadzwyczaj lekko, by nie obudzić uspijoną. To zetknięcie się z jej ciepłymi palcami, które wydały mi się delikatne, jak muślin, utkany z przędzy pajęczej, wywołało we mnie wkrótce dziwne uczucie. Uważałem na siebie pilnie, posłuszny pańskim zleceniom i zdołałem analizować swe wrażenia, jakbym analizował jaką ciecz w swem laboratorium. Z początku byłem przejęty kontemplacją tego uroczego stworzenia, śpiącego koło mnie; błędziłem oczami po jej delikatnej ręce, zaokrąglonem ramieniu, po jej alabastrowych piersiach, po całej postaci, której nie przestawałem podziwiać. Zwolna pewne specjalne uczucie zwróciło moją uwagę. Zdawało mi się, jakby lekki elektryczny prąd przebiegał po moim ramieniu. Wrażenie to było bardzo wyraźne, choć i bardzo słabe. Skóra na rękach i palcach wydała mi się podziurawioną mnóstwem małych ukłuc, tak, jakbym ręce oparł na szpilkach; miałem złudzenie, jakby lekkie tchnienie dobywało się z tych tysięcy dziurek; uczucie to nie było zresztą przykre. Zdziwiło mnie to bardzo, gdyż wrażenie to było dla mnie zupełnie nowem. Odczuwałem je przez blisko kwadrans, potem ono zmalowało, nie ustępując zupełnie. Jednocześnie przepełniony byłem niezwykłą sympatią dla tej młodej panny, którą trzymałem za rękę. Ten lekki prąd elektryczny jakby przechodził z mojej do jej ręki i istotnie sądziłem, że przelewam w nią własną energię: wydało mi się, że stała się ona częścią mnie. Upłynęło kilka minut; sympatia moja zdawała się rosnąć. Dołączyła się do niej i głęboka czułość; chciałem wziąć w swe ręce tę piękną postać i ukołysać, jak ukochane dziecko. Chciałem ją pieścić, pokryć pocałunkami jej oczy, usta, szyję, całe jej ciało.